

W oczekiwaniu na media publiczne

Standard praw i obowiązków, zakres wolności i swobód obywatelskich, cywilizacyjny obraz państwa, w tym jego instytucji demokratycznych, można także ocenić na podstawie funkcjonowania mediów publicznych. Publiczne, czyli społeczne, obywatelskie, a więc nie państwowe, rządowe, partyjne, i oczywiście nie prywatne, korporacyjne czy rodzinno-mafijne. Ale to jednak państwu przypada rola prawnego regulatora funkcjonowania mediów publicznych w dobrze pojętym interesie jego obywateli, czyli odbiorców programów radiowo-telewizyjnych. Im państwo jest bardziej osadzone w instytucjach demokratycznych, tym skuteczniej wypełnia oczekiwania swoich obywateli względem mediów publicznych, a tym samym lepiej zapewnia realizację dobrze pojmowanego interesu państwa, rozumianego jako dobro wspólne.

Poprzez ocenę mediów publicznych możemy zorientować się, w jakim państwie żyjemy, jaką prowadzi ono politykę wewnętrzną, czy jest w swoich decyzjach autonomiczne, czy uzależnione, jakie sobie stawia cele i czego oczekuje od obywateli. Możemy się także zorientować, jakie siły polityczne dominują w państwie, jaką kierują się filozofią rządzenia, do jakiej ideologii się odwołują i jaka jest kondycja moralno-etyczna tzw. elit, także tych decydujących o mediach i pracujących w nich. Dlatego dyskusja o roli mediów publicznych w Polsce nie może abstrahować od modelu państwa, jaki ukształtował się w Polsce po 1989 roku, kiedy to władza wycofała się oficjalnie z medialnego monopolu i zlikwidowała cenzurę. Niestety, miejsce po autorytarnym reżimie zajęło państwo o cechach i nawykach państwa postkomunistycznego, z wielkim oporem i pod ciągłym społecznym naciskiem wycofującego się z ideologicznego dogmatu „wychowywania” sobie obywateli i narzucenia im swojej „woli politycznej” za pomocą mediów, zarówno prywatnych, jak i publicznych.

Propagandowy aparat partyjny w mediach zastąpili beneficjenci historycznych przemian po 1989 roku; dawna-nowa partyjna nomenklatura we współpracy z tzw. konstruktywną opozycją. Po latach można stwierdzić, że nie odeszli zbyt daleko od starych, skompromitowanych wzorców i nawyków.

Cofnijmy się do roku 1980, do strajków sierpniowych. Gdańscy stoczniowcy, wśród 21 postulatów adresowanych do komunistycznej władzy, domagali się „wolności słowa, druku, publikacji”. Żądali udostępnienia środków masowego przekazu przedstawicielom wszystkich wyznań, podawania do wiadomości publicznej pełnej informacji o sytuacji politycznej i gospodarczej w kraju i umożliwienia „wszystkim środowiskom i warstwom społecznym” uczestniczenia w dyskusji na temat reform. Ten postulat nie został wciąż w pełni zrealizowany. Środki masowego przekazu, tak wówczas nazywane, i podporządkowane kierownictwu komunistycznej partii, nie stały się niezależnymi, obywatelskimi mediami publicznymi, mimo że od czasu tzw. transformacji systemu minęły już 23 lata.

Powołana w 1993 roku Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji, konstytucyjny organ państwa, złożona z przedstawicieli prezydenta, sejmu i senatu, ma zgodnie z ustawą „stać na straży wolności słowa w mediach, samodzielności nadawców i interesów odbiorców”. Nadal jednak nie wszystkie środowiska i warstwy społeczne mogą zaistnieć w przestrzeni publicznej, zarówno z jednej, jak i drugiej strony kamery czy mikrofonu. Wolność słowa została w ten sposób znacznie ograniczona. W mediach dominuje światopoglądowy nurt zorientowany lewicowo-liberalnie, a normatywny

zapis ustawowy o respektowaniu wartości chrześcijańskich bywa ignorowany i wielokrotnie naruszany. Opór, z jakim walczył obecny prezes Telewizji Polskiej Juliusz Braun o utrzymanie obecności w programie telewizyjnym zadeklarowanego satanisty, jest niezwykle wymownym tego przykładem. Zlekceważono prawne zapisy ustawy o radiu i telewizji, w tym zapis mówiący o kierowaniu się interesem odbiorców.

Powołanie KRRiT, jako „organu właściwego w sprawach radiofonii i telewizji”, i utworzenie dwóch spółek skarbu państwa, „Telewizji Polskiej SA” i „Polskiego Radia SA”, w miejsce Radiokomitetu, było równie zawikłane, a niekiedy tak tajemnicze jak historia tworzenia się prywatnego rynku medialnego; telewizyjnego, radiowego i prasowego w Polsce. Media te zakładali ludzie powiązani historycznie i kapitałowo z byłym komunistycznym aparatem władzy i tajnych służb specjalnych.

U progu przemian na czele telewizji publicznej stanął Andrzej Drawicz, wieloletni tajny współpracownik komunistycznej bezpieki, zarejestrowany jako TW „Kowalski”. Jego zastępcami zostali Lew Rywin, były wiceszef dawnego Radiokomitetu, reprezentant „grupy trzymającej władzę”, skazany w aferze Rywin-Michnik za korupcję, oraz Jan Dworak, obecny przewodniczący KRRiT z nominacji prezydenta Bronisława Komorowskiego, który zrobił wszystko, by nie dopuścić do multipleksu katolickiej TV Trwam. Wzmacnianie przez prezydenta Lecha Wałęsę „lewej nogi” zapewniło dawnym komunistom i jednej z opcji lewicowych panowanie w mediach publicznych na całe lata.

Nad mediami publicznymi zaciążyła bieżąca walka polityczna. Celem stało się zdobycie większości głosów w KRRiT, a tym samym opanowanie rad nadzorczych, a dalej zarządów spółek mediów publicznych. Walkę toczył sejm z senatem, rząd z prezydentem, prezydent z szefem KRRiT, partia rządząca z opozycją, niekiedy nawet współrządzące partie, a najczęstszym oskarżeniem, jakim strony konfliktów wzajemnie się obrzucały, był zarzut upolitycznienia mediów i wykorzystywania ich do własnych politycznych celów. Zasada „czyja władza, tego media” utrwaliła się przez lata i przetrwała do dzisiaj, wywierając negatywne piętno na charakterze mediów publicznych w Polsce. Nadal najmniej do powiedzenia mają odbiorcy mediów, ich prawdziwi właściciele, ci, którzy płacą abonament, a których „interes” miał stanowić główny sens istnienia niezależnych, publicznych mediów.

Media publiczne, jak i większość instytucji państwa z wielkim oporem przyjmowały te regulacje prawne, których celem miało być odpolitycznienie, pluralizm poglądów, lustracja czy nigdy niedokończony proces dekomunizacji. Stare struktury komunistyczne w mediach, tak jak i w szkolnictwie czy kulturze, nadal nadają ton, chcąc za wszelką cenę przetrwać i decydować. Kontynuują tak wypaczoną „misję” w interesie aktualnie rządzących, tak jak dawniej w interesie komunistycznej partii. Podejmowane próby „przewietrzenia” telewizji publicznej, dopuszczenia do pracy w mediach osób o niekomunistycznym rodowodzie, o konserwatywnej, patriotycznej, narodowej, a nie tylko lewicowo-liberalnej orientacji, jakie próbowano dokonać za prezesów telewizji: Mariana Terleckiego, Wiesława Walendziaka, Bronisława Wildsteina, Andrzeja Urbańskiego kończyły się szybkim odwołaniem ich ze stanowisk. Podobnie zakończyła się próba zmian kadrowych i programowych w Polskim Radiu za prezesury Krzysztofa Czabańskiego. Niesłusznie oskarżany o „czystki personalne” stał się celem ataków lewicowych mediów.

Na złej kondycji programowej i finansowej mediów publicznych zaciążyła też ich struktura prawno-organizacyjna. Media publiczne, zorganizowane w spółki Skarbu Państwa, stały się łupem rządzących partii politycznych obsadzających swoimi

zaufanymi ludźmi kierownicze stanowiska. Poddane rygorom prawa handlowego zostały zmuszone, jak podobne im struktury gospodarcze, do zarabiania na sobie i zaciągania kredytów nie przejmując się raczej konsekwencjami takich decyzji. W zasadzie zrezygnowały z wypełniania działalności misyjnej i rzuciły się w wir komercji, konkurując ilością reklam z mediami prywatnymi. Dzisiaj niczym się już od nich nie różnią.

Historią bez precedensu stała się próba likwidacji mediów publicznych przez rząd Donalda Tuska. Elektroniczne media publiczne w Polsce znalazły się w fatalnej sytuacji finansowej głównie za sprawą „obywatelskiej” przysługi premiera Donalda Tuska, publicznie nawołującego do niepłacenia abonamentu radiowo-telewizyjnego. Choć występował już problem mało skutecznej ściągalności abonamentu, to jeszcze nikt publicznie nie nawoływał do jego niepłacenia. Z chwilą zaprzysiężenia rządu Donalda Tuska (16 listopada 2007 roku), przedwyborcze zapowiedzi Platformy Obywatelskiej dotyczące likwidacji abonamentu stały się oficjalne i powszechne. Premier i jego rząd zachęcali do niepłacenia „haraczu”, „daniny”, „niezasłużonego podatku”. Oczywiście nikt oficjalnie (prokuratura) nie postawił premierowi takiego zarzutu, gdyż ostateczna decyzja w sprawie płacenia czy niepłacenia abonamentu należy do obywateli, ale jak nazwać taką destrukcyjną postawę szefa rządu, który odpowiada za kondycję finansową spółek skarbu państwa?

Rok 2008 był dla koalicji rokiem forsowania nowej ustawy medialnej, która miała zatwierdzić likwidację abonamentu, ale i pozwolić Platformie Obywatelskiej na przejęcie pełnej władzy nad mediami publicznymi. Jak zwykle chodziło o wybór członków KRRiT, rad nadzorczych i zarządów spółek radiowo-telewizyjnych. SLD, partner medialnej koalicji z PO, wstrzymując się od głosu, podtrzymał tym samym weto prezydenta. Ustawa przepadła. Mimo że ustawa upadła, rząd pod hasłem „ulżenia” najuboższymi postanowił w inny sposób osłabić finansowo media publiczne, by w końcu poddały się planowanym liberalnym zmianom. Z inicjatywy PO uchwalono nowelizację ustawy o abonamencie, która rozszerzyła dotychczasową listę uprawnionych do niepłacenia abonamentu.

W 2009 roku rząd przystąpił do drugiej rundy walki z publicznymi mediami, czyli obowiązkowym abonamentem. Do wytężonej pracy nad przeforsowaniem nowego projektu ustawy medialnej wytypowano jak zwykle w pełni dyspozycyjną posłankę Iwonę Śledzińską-Katarasińską, znaną z antysemickich publikacji w 1968 roku. Forsując nowelizację, nigdy nie wspomniała, że prowadzi ona do finansowego osłabienia mediów publicznych, wręcz do ich upadłości, a w konsekwencji do prywatyzacji tego szczególnego sektora gospodarki i kultury narodowej. Zaklinając, że chodzi jedynie o odpolitycznienie mediów publicznych (ten sam argument używany jest w walce z IPN), nie mówiła, że kosztem upadającego rynku mediów publicznych nastąpi szybkie i wielomiliardowe dofinansowanie się mediów prywatnych, szczególnie ogólnopolskich prywatnych stacji telewizyjnych i radiowych. Było oczywiste, że ten wielomiliardowy rynek ponadplanowych przychodów pomnożony przez przychody w kolejnych latach, jest w rzeczywistości „prezenciem” od rządu dla prywatnych mediów, o których Andrzej Wajda mówił w imieniu władzy i establishmentu, jako o „zaprzyjaźnionych”. Przy takim „prezencie” afery „Rywin-Michnik” wyglądała rzeczywiście blado, jako marna kombinacja dwóch medialnych potentatów Agory i Polsatu, choć trzeba tu przypomnieć, że w tle tej afery kryła się prywatyzacja Programu 2 TVP.

Druga próba przeforsowania ustawy medialnej firmowanej przez tę samą medialną koalicję upadła ponownie. Lewica nie poparła odrzucenia weta prezydenta, gdyż w miejsce zlikwidowanego abonamentu rząd nie chciał wprowadzić finansowania mediów publicznych z budżetu państwa. Innym albo dodatkowym powodem mogła być akceptacja przez PO projektu nowej ustawy z zapisem o chrześcijańskich wartościach, zapisem, którego miało nie być.

Ustawa upadła, ale nawoływania do niepłacenia abonamentu, tak miłe dla ucha, a raczej dla kieszeni wielu telewidzów i radiosłuchaczy, okazały się bardzo skuteczne. Wpływy z tytułu abonamentu to zaledwie 25% kosztów utrzymania i stale maleją. Rząd zrezygnował z dalszego nowelizowania ustawy, jakby zniechęcony dwukrotną nieudaną próbą zmiany ustawy o radiu i telewizji. Nic też dziwnego, że ten stan rzeczy wzbudził poważne zaniepokojenie tych środowisk (np. SDP), które dzięki mediom publicznym miały możliwość nie tylko twórczego istnienia, ale i uprawiania zawodu.

Przy okazji „konsultacji” drugiego projektu ustawy medialnej środowiska twórcze przekonały się, że ich głos w ogóle się nie liczy. A był to głos wręcz powszechnego oburzenia. Nie znalazła się żadna grupa twórcza, którą choćby w części zadowalał projekt ustawy medialnej firmowanej przez PO, PSL, SLD. Przy okazji dyskusji na temat mediów publicznych po raz pierwszy pojawiły się kwestie dotyczące powinności państwa wobec obywateli w dziedzinie mediów. Być może dlatego szukano pomocy u prezydenta Lecha Kaczyńskiego, który wykazał zdecydowanie większe niż rząd zrozumienie dla kulturotwórczej roli mediów w państwie. Twórcy przypominali, że czołowe państwa europejskie utrzymują abonament i równocześnie dają mediom publicznym możliwość zarabiania dzięki reklamom. Nie przeszkadza to jednak w tworzeniu programów na wysokim poziomie. Tak jest w Wielkiej Brytanii, Niemczech, Francji, Włoszech, Austrii, a więc w tzw. „starej Unii”. W przeciwieństwie do niej kraje „nowej Unii”, w tym Polska realizują jakiś dziwny, jakby narzucony z zewnątrz, plan osłabiania własnych narodowych mediów publicznych, a nawet zamiar ich likwidacji. Takiej właśnie polityce przeciwstawiał się śp. prezydent Lech Kaczyński. Przy okazji, nie wiadomo, w jakim stopniu na losy wyborów prezydenckich w USA mogła zaważyć zapowiedź Mitta Romney’ a o cofnięciu dofinansowywania przez rząd dla publicznej telewizji PBS produkującej popularny film dla dzieci „Ulica sezamkowa”. Jak widać tam także, z publicznych środków, utrzymywane są niektóre media o charakterze publicznym.

Wraz z początkiem drugich rządów Platformy Obywatelskiej zanikła wszelka dyskusja o przyszłości mediów publicznych, bo i po co. Zostały one całkowicie „oczyszczone” z dziennikarzy, choćby tylko podejrzewanych o niechęć do władzy lub zbyt mały dla niej entuzjazm, i przejęte całkowicie przez środowiska zaprzyjaźnione z rządem. Ponadto do mediów powrócili starzy komunistyczni wyjadacze radiowi i telewizyjni, którzy przez cały PRL instytucje te zawłaszczali dla siebie. Dlatego ustawowy zapis o zapewnieniu w mediach publicznych różnorodności programowej i pluralizmu światopoglądowego nadal pozostaje niespełnionym postulatem sprzed 32 laty. Dawną oficjalną cenzurę zastąpił nieoficjalny terror tzw. poprawności politycznej. Dawny oficjalny monopol władzy w mediach zastąpił nieoficjalny monopol jednej partii rządzącej, jednej formacji ideowo-politycznej.

Odrodziły się więc największe plagi tych instytucji: koniunkturalizm i oportunizm. Dziennikarz znowu służy władzy, a nigdy społeczeństwu. Znowu jest prorządowy, dworski, jak dawniej był partyjny. Dziennikarz w najmniejszy sposób nie czuje się w

obowiązku kontrolowania władzy, jest służalczy i tendencyjny, gotowy bronić jej i swojego stanowiska za wszelką cenę. Odbiorca mediów publicznych, jej prawdziwy właściciel, znowu jest pouczany, wychowywany i marginalizowany w swoich oczekiwaniach. Olbrzymia większość dziennikarzy pozostaje zakładnikami modelu partyjnej telewizji, który dziś nawiązuje do wzorców rodem z PRL-u. Dominuje ręczne sterowanie programami informacyjnymi. Stacje prywatne nie różnią się od stacji publicznych, jakby wszystkie były zarządzane z jednego ośrodka decyzyjnego. Tematy informacyjne i publicystyczne są ujmowane w ten sam sposób, a pewnych tematów (też tych samych) po prostu nie ma. W dziennikach obowiązuje ten sam układ, czyli kategoryzacja wydarzeń, głoszone są te same opinie, używane identyczne sformułowania, występują ci sami „dyżurni” eksperci, komentatorzy i zaproszeni goście. Identyczne jest epatowanie formą kosztem treści. Rzuca się w oczy ten sam życzliwy stosunek do władzy, przy równoczesnym eliminowaniu krytyki i poglądów opozycji. Typowy dziennikarz mediów publicznych III RP wciąż jest funkcjonariuszem państwa, ale takiego, w którym rządzą postkomunistyczne, lewicowo-liberalne elity. Przez to właśnie obraz Polski zostaje zniekształcony, wręcz wypaczony. Nie informuje się o protestach bardzo wielu środowisk, manifestacjach ulicznych, strajkach, także okupacyjnych. Nie porusza się tematów niewygodnych dla władzy. Nie wiemy nic o dzikiej prywatyzacji, o samowoli władzy w terenie, o likwidowanej gospodarce, prawdziwym stanie finansów, faktycznym zadłużeniu i wielu aferach, wiadomo gdzie zamiatanych.

Prawdziwe, niezależne dziennikarstwo funkcjonuje w mediach niszowych, w Internecie i w prasie konserwatywno-patriotyczno-prawicowej. I oczywiście w Radiu Maryja i TV Trwam, które teraz, gdy Telewizja Polska i Polskie Radio niemal zrezygnowały z wypełniania misji, pełnią rolę mediów publicznych. Poruszają tematy trudne, będące często oskarżeniem władzy, a ważne dla społeczeństwa. Mówi się tam prawdę o gospodarce, bezrobociu, rolnictwie, zagrożeniu powodzią, o likwidacji całych zakładów czy całych sektorów gospodarki (np. przemysłu stoczniowego, rybołówstwa, budownictwa), o zagrożeniu GMO, o likwidacji szkół, tragicznej sytuacji w służbie zdrowia, likwidacji posterunków policji, urzędów pocztowych, stacji kolejowych oraz o postępach śledztwa w sprawie tragedii smoleńskiej, które prowadzi niezależny od władzy sejmowy zespół posła Antoniego Macierewicza. Jest jeszcze jedna szczególna, wspólna cecha dawnych i obecnych mediów publicznych.

Dziedziczenie w nich stanowisk przez klany rodzinne. Przykładem jest rodzina Kraśków. Wincenty Kraśko sekretarz KC PZPR ds. kultury rządzi w imieniu partii telewizją i proteguje do pracy w niej, oczywiście na kierowniczym stanowisku, syna Tadeusza, a po latach jako sztandarowa postać „Wiadomości TVP” pojawia się wnuk Wincentego - Piotr Kraśko. Nie jest tajemnicą, że w ślady rodziny Kraśków poszły i inne rodziny. Największa z nich wraz z „przyległościami”, czyli dziećmi, kuzynami, kochankami oraz bliższymi i dalszymi znajomymi liczy ponad 64 osoby. Młody Kraśko kiedyś odżegnywał się od swego dziadka z PZPR-u. Niestety, kontynuuje w mediach propagandę sukcesu i robi to w sposób typowy dla czasów Wincentego Kraśko. Nie wyciągnął żadnych głębszych wniosków z tego, czym była wtedy, w czasach komuny, propaganda sukcesu. Jako szef „Wiadomości” największego programu informacyjnego w telewizji publicznej nie dopuścił do pokazania ponad 100-tysięcznego kwietniowego marszu w Warszawie w obronie wolności mediów i TV Trwam. Przejdzie do historii jako ten, który zadał premierowi nokautującego go pytanie: „Jak żyć po Euro?”.

Problem Kraśko-podobnych dziennikarzy w mediach publicznych jest o wiele bardziej złożony. Grupa najbardziej wpływowych dziennikarzy mediów III RP wywodzi się z rodzin o komunistycznym rodowodzie, często ze środowisk ubeckich odpowiedzialnych bezpośrednio za zniewolenie narodu w czasach komunistycznych. Dzieci, wnuki nie odpowiadają za swoich wstępnych, ale wychowywane w tak specyficznych rodzinach nie potrafią odnaleźć się w atmosferze wolności, osobistej godności i odpowiedzialności za swoją pracę. Nie musieli się przebijać przez życie, bo zawsze mogli liczyć na wpływy i wieloletnie rodzinne kontakty z władzą. Trudno im też wczuć się w ducha narodu, który o swoją wolność, przez wiele lat, walczył na różne sposoby z narzuconym nam ze Wschodu systemem politycznym i jego wykonawcami. Trudno im też znaleźć odpowiednią dawkę empatii i zrozumienia dla społeczeństwa w większości wychowanego w kulturze chrześcijańskiej, kultywującego narodową tradycję, przywiązanego do instytucji Kościoła i wiary w Boga. Stąd z takim trudem przebijają się przez media hasła: Bóg, honor, Ojczyzna, tak sprzeczne z kosmopolitycznym wychowaniem i obecną neo-cenzurą w postaci tzw. politycznej poprawności.

Media publiczne są potrzebne każdemu poważnemu państwu, ale szczególnie potrzebne są dziś Polsce. Nasza unikatowa 1000-letnia państwowość, oryginalna kultura, chrześcijańskie korzenie, geopolityczne położenie, procesy globalizacji, integracji Unii Europejskiej, nakładają na elity III RP, na wszystkie wrażliwe na polski ethos i przyszły los elity intelektualne, obowiązek utrzymania i nieskrępowanego rozwoju naszego potencjału kulturalnego. Społeczeństwo utrzymywało media publiczne przez trudne lata PRL-u i minione 23 lata III RP. Nadal należy przypominać, że to społeczeństwo, obywatele są właścicielami wszystkiego, co media wytworzyły i zachowały, także całego dorobku archiwalnego. Zwycięstwo wyborcze, większość sejmowa, prawo tworzenia rządu i podejmowania decyzji nie dają legitymacji do działań wbrew polskiej kulturze. Polskę stać na silne media publiczne, także finansowo. Muszą jednak tego chcieć ci, którzy podejmują dziś najważniejsze w państwie decyzje. Temu „chceni” musi towarzyszyć silna presja obywateli przekonanych o potrzebie istnienia własnych mediów publicznych, już prawie ostatniego naszego bogactwa narodowego. Obok niewątpliwie zdolnego młodego Kraśki, muszą zaistnieć w mediach publicznych inni ludzie, wyłonieni bez partyjnego czy rodzinnego klucza. Stanowiska w mediach publicznych powinni obejmować fachowcy wyłonieni w otwartych konkursach. Nadzór nad mediami powinno sprawować społeczeństwo poprzez swoich przedstawicieli reprezentujących niezależne od władzy stowarzyszenia i organizacje obywatelskie.

Nie dajmy sobie wmówić, że nie ma sposobów na ratowanie mediów publicznych i takie ich usytuowanie w państwie, by spełniały oczekiwaną ważną kulturową rolę. No chyba że się po prostu nie lubi własnego państwa. Wówczas Polska rzeczywiście może się jawić jako „nienormalność”, a abonament radiowo-telewizyjny jako haracz.

Wojciech Reszczyński "Oburzeni", Wydawnictwo Biały Kruk. Kraków 2012

